

POKŁAD SPŁYWAŁ KRWIĄ, A MY STRZELALISMY DALEJ

Ze Stanisławem Pyrkim

**o heroicznej walce polskich marynarzy
z niemieckim lotnictwem rozmawia Piotr Korczyński.**

W lutym 1939 roku jako dwudziestolatek wstąpił Pan na ochotnika do marynarki wojennej. Co zdecydowało o tym, że mieszkaniec podgórskich Lusławic wybrał służbę na morzu?

Między innymi bieda. Pochodzę z wielodzietnej rodziny. Ja byłem jednym z najmłodszych spośród czternaściorga rodzeństwa. Starsi bracia służyli w wojsku, niektórzy jeszcze przed I wojną światową. Jeden na przykład był rusznikarzem w Krakowie w pułku lotniczym. W tamtych czasach to był jedyny sposób na zdobycie lepszego zawodu. Co istotne, mój ojciec pracował jako kowal, miał własną kuźnię, więc mimo wszystko lepiej nam się powodziło niż innym mieszkańcom wioski. Zacząłem tam pracować, ale i tak postanowiłem poszukać własnej drogi. Jako że w domu były tradycje wojskowe, poszedłem w ślady starszych braci. Do marynarki zgłosiło

się z południowej części kraju ośmiu ochotników, a dostało dwóch. Była bardzo ostra selekcja – odpadał nawet ten, kto miał chory ząb. Marynarka to była elita Wojska Polskiego. Byłem zdrowy i wysportowany, więc przyjęli mnie bez problemów.

Dostał Pan przydział na stawiacz min ORP „Gryf”. Jaką funkcję pełnił Pan na tym największym polskim okręcie i jednym z najnowocześniejszych?

Do przysięgi był czas na robienie z cywila żołnierza – najpierw nauka musztry i wpajanie podstawowych zasad obowiązujących w armii. Następnie, w czerwcu 1939 roku skierowano mnie do Szkoły Specjalistów Morskich, która mieściła się na hulku ORP „Bałtyk” zacumowanym w porcie Gdynia-Okcywie. W szkole zdobyłem specjalność минера, a po ukończeniu kursu skierowano mnie na ORP „Gryf”. Na okręcie zajmowałem się uzbrajaniem min przed zrzuconiem ich z torów do morza. Najprościej mówiąc, byłem odpowiednikiem sapersa w wojskach lądowych.

WIZYTÓWKA

**PPOR.
STANISŁAW PYREK**

Ostatni żyjący marynarz ORP „Gryf”. Urodził się 30 kwietnia 1919 roku w Lusławicach koło Zakliczyna, jako syn Aleksandra i Katarzyny Pyrek z domu Gala. Za walki we wrześniu 1939 roku odznaczony został medalem „Za Udział w Wojnie Obronnej 1939” i Odznaką Weterana Walk o Niepodległość. W 2002 roku decyzją prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej awansowany do stopnia podporucznika. ■

Dla załogi ORP „Gryf” pierwszy dzień wojny był wielką bitwą z niemieckim lotnictwem. Jak Pan zapamiętał te dramatyczne chwile?

Ten dzień był dla nas tragiczny. Przede wszystkim zginął nasz kapitan, kmdr Stefan Kwiatkowski – został skoszony serią karabinu maszynowego jednego z niemieckich samolotów. Do dziś śnią mi się po nocach spływający krwią pokład „Gryfa” i porozrzucane szczątki moich kolegów na przybudówkach po którymś z kolei nalocie Luftwaffe. To były straszne chwile, ale po pierwszym szoku działaliśmy jak na manewrach. Kiedy kmdr Kwiatkowski został śmiertelnie ranny, przez chwilę dowodził nami jeden z bosmanów, kierował ogniem dział. Nawet kiedy urwało mu rękę, jeszcze około godziny stał na pokładzie z zaciśniętym opaską kikutem i dalej wydawał rozkazy! Taka była adrenalina. Przez kilka dni z jednej strony odpieraliśmy naloty lotnicze, a z drugiej prowadziliśmy pojedynek z dwoma niemieckimi niszczycielami. Walczyliśmy z nimi tak skutecznie, że przez nasze trafienia oba okręty wycofały się po postawieniu zasłony dymnej. Na jednym z niszczycieli zginęła wtedy obsługa karabinu maszynowego. W tych pierwszych dniach wojny zdaliśmy nasz marynarski egzamin; dorównaliśmy nieprzyjacielowi dysponującemu nie tylko przeważającą siłą w powietrzu, lecz także jedną z największych marynarek wojennych na świecie.

Chociaż po ciężkich uszkodzeniach od bomb „Gryf” zmienił się w płonący wrak w porcie helskim, załoga nie zaprzestała walki. Wręcz przeciwnie, marynarze zdemontowali działa z okrętu i włączyli się w obronę Helu. Jaka rola przypadła Panu w obronie półwyspu?

Mimo grozy po bitwie z niemieckimi lotnikami i marynarzami wśród załogi nie było żadnych oznak paniki ani niesubordynacji. Poza jednym przypadkiem. Chodzi o człowieka, który objął dowodzenie „Gryfem” na jeden dzień przed kmdr. Stanisławem Hryniewieckim. Kpt. Wiktor Łomidze-Wachtang, zastępca kmdr. Kwiatkowskiego, był oficerem kontraktowym z Gruzji. Niestety, w czasie nalotów niemieckich stchórzył i ukrył się pod najniższym pokładem. Podjął też kontrowersyjną decyzję o wrzuceniu do morza około 300 nieuzbrojonych min, co spowodowało, że nasz okręt stał się jedynie pływającą baterią artyleryjską.

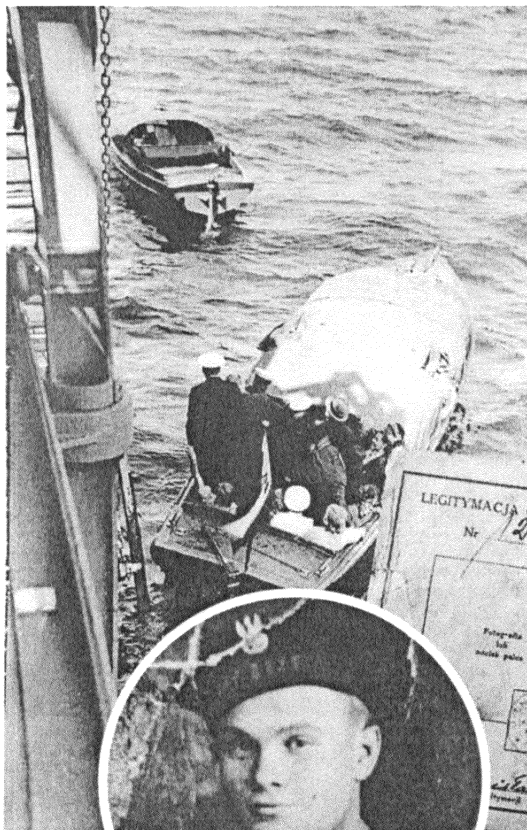


Po usunięciu dział z „Gryfa” dostałem zadanie obsługi karabinu maszynowego.

Za udział w demontażu 10 września 1939 roku otrzymałem awans na starszego marynarza

Ja, po zdemontowaniu dział z „Gryfa”, dostałem zadanie obsługi karabinu maszynowego. Za udział w demontażu okrętu 10 września otrzymałem awans na starszego marynarza. Awansował mnie dowódca baterii nadbrzeżnej im. Heliodora Laskowskiego, kpt. Zbigniew Przybyszewski. Wcześniej jednak miałem problemy. Kiedy po kolejnych nalotach „Gryf” osiadł na dnie basenu helskiego portu, kmdr Hryniewiecki polecił nam zdemontować broń, a następnie opuścić okręt. Rozkaz ten wydał jednak jeszcze przed oficjalnym objęciem „Gryfa” po kpt. Łomidze-Wachtangu. I gdy kapitan zobaczył, jak rozbijam jedną z szaf w mesie oficerskiej, kazał mnie postawić przed sądem wojennym za niszczenie mienia marynarki wojennej. Niewiele brakowało, a zginąłbym od kul plutonu egzekucyjnego złożonego z własnych kolegów! Przed sądem jednak wyjaśniłem, że wykonywałem rozkazy przełożonego.

W pierwszych dniach wojny zdaliśmy nasz marynarski egzamin; dorównaliśmy nieprzyjacielowi dysponującemu nie tylko przeważającą siłą w powietrzu, lecz także jedną z największych marynarek wojennych na świecie.



ARCH. RODZINY PYRKÓW

← ORP „Gryf”
w czasie kur-
tuazyjnej wizyty
w Estonii tuż przed
wybuchem wojny.

Legitymacja starszego marynarza
Stanisława Pyrka

Zakłopotani oficerowie zwolnili mnie, ale byłem wówczas bliżej śmierci niż wtedy, gdy znalazłem się pod ogniem niemieckich samolotów i okrętów...

Jakie wydarzenie najmocniej utkwilo Panu w pamięci z obrony Helu?

Moment tuż po kapitulacji. Ten straszny żal – nasz, prostych żołnierzy – że to już koniec walki. Proszę sobie wyobrazić taką sytuację: już po rozbrojeniu idziemy między szpalerm Niemców. Oni upojeni zwycięstwem, uśmiechnięci, obrażają nas. Kilku naszych z bezsilnej już złości podeszło do tych Niemców i ich... obsikało. Żaden z tych żołnierzy nawet się nie ruszył. A w nas była jakaś obojętność, jakby wszelki strach przed śmiercią wyparował w czasie walki. Przecież ci obsikani Niemcy mogli z łatwością zastrzelić naszych. Ale oni na to czekali! W chwili klęski śmierć nie była dla nas czymś strasznym, lecz wybawieniem! Niemcy jednak nie dali się sprowokować, a ich oficerowie nam salutowali, podkreślając, że doceniają bohaterską postawę załogi Helu.

Co Pana spotkało po dostaniu się do niewoli?

Prawie rok przetrzymywano mnie w twierdzy toruńskiej, w bardzo ciężkich warunkach. Tak więc można powiedzieć, że Niemcy docenili załogę „Gryfa” i obrońców Helu... Ktoś mi poradził, bym nie przyznawał się do tego, że byłem na okręcie specjalistą. Powinienem utrzymywać, że z wykształcenia jestem rolnikiem. Posłuchałem tej ra-

dy, która prawdopodobnie ocaliła mi życie, gdyż później wielu moich kolegów zginęło w czasie bombardowań zakładów przemysłowych, w których zostali przymusowo zatrudnieni. Jako rolnik, trafiłem do gospodarstwa w Krefeld koło Düsseldorfu. Moi gospodarze byli starszymi i, co pragnę podkreślić, dobrymi ludźmi. Jadłem na

przykład z nimi posiłki, a było to zabronione! Miałem też własny pokój na poddaszu i nigdy nie brakowało mi jedzenia. Kole-dzy, którzy trafili do fabryk w miastach, często przymierali głodem.

Był jeden dramatyczny moment w pierwszych dwóch tygodniach pracy w Krefeld. Jak to młody żołnierz, który jeszcze niedawno wachał proch na polu walki, nie chciałem słuchać poleceń jednego z Niemców dozoru-jących pracę na polu. Zwrócił mi uwagę – raz, drugi – a ja go ignorowałem. Wreszcie podbiegł do mnie i wyrwał mi motykę z rąk. Wtedy uderzył me go tak mocno, że fiknął kozła i upadł.

Gestapo przyjechało błyskawicznie. Pobili mnie mocno, a później chcieli rozstrzelać. Wstawił się za mną mój gospodarz, który tłumaczył ten wyskok młodym wiekiem.

Później już było spokojnie, aż do zwolnienia z niewoli w maju 1941 roku. To też jest ciekawy przypadek, świadczący o tym, jak straszna bieda panowała wtedy na wsi. Mianowicie zwolniono mnie, bo do pracy w Niemczech zadeklarował się za mnie Józef Karpel z sąsiedniej miejscowości, w której mieszkała moja siostra. Pisywałem do niej, a w listach, zgodnie zresztą z prawdą, podkreślałem, że nie brakuje mi jedzenia. I tenże pan Karpel, dowiedziawszy się o tym, zadeklarował się na dobrowolną zamianę. Ponadto mój ojciec, jako kowal, potrzebował pomocnika w kuźni, w której Niemcy kuli konie.

Po powrocie do domu zaangażowałem się – na tyle, na ile to było możliwe – w działalność konspiracyjną. Mój brat Franciszek był aktywnym członkiem Armii Krajowej, ale ja, jako zwolniony z niewoli marynarz, znajdowałem się pod szczególnym nadzorem Niemców.

Czy po wojnie utrzymywał Pan kontakty z kolegami z „Gryfa”?

Nie udało mi się odnowić kontaktów z kolegami. Tylko raz usłyszałem w radiowym koncercie życzeń komunikat, że „kolega z okrętu »Gryf«, mieszkający w Londynie przesyła Stanisławowi Pyrkowi serdeczne pozdrowienia”. To było gdzieś w połowie lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia. Kolegów z „Gryfa” pamiętam jednak, jakbym ich widział dzisiaj... Czas spędzony na pokładzie okrętu polskiej marynarki wojennej zaważył na całym moim długim życiu. ■